

# Korespondencje

950-LECIE GDANSKA

Dwa przeszło już lata pracy nad gospodarczą odbudową pońskiego Wybrzeża wydały niewątpliwie swe rezultaty. Prowadzono ją w warunkach bardzo ciężkich i przy zastosowaniu niejednokrotnie najbardziej prymitywnych środków odbudowy. Praca ta wykazała, że Polak umie swą tradycyjną niby to lądową psychikę nastawić na psychikę człowieka morza.

Lato nad morzem to okres, w którym rozliczne wycieczki czy poszczególni przyjezdni zapoznają się z obcym im żywiołem, ale dla naszego Wybrzeża to czas, w którym zdaje ono pewnego rodzaju egzamin z całorocznej pracy.

W roku bieżącym na terenie Wybrzeża Gdańskiego wśród szeregu imprez i atrakcji, wśród których wybijały się takie jak koncerty w operze leśnej w Sopocie czy wyciągi konne, na pierwszy plan wysunęły się, i to tak pod względem trwałej wartości gospodarczej jak i wykazania dotychczasowego dorobku odbudowy Wybrzeża, pierwsze Międzynarodowe Targi Gdańskie.

Jeszcze 12 kwietnia 1946 na skutek uchwały Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów R. P. postanowiono urządzić coroczne międzynarodowe targi w Gdańsku o specjalnym charakterze eksportowo-żeglugowym. Z jednej strony miały one nawiązywać do dawnych świetnych czasów handlu gdańskiego z epoki jego łączności z Rzeczypospolitą w wiekach nowożytnych, z drugiej strony miały być kontynuacją prastarej tradycji targów dominikańskich, jakie w Gdańsku od czasów książąt pomorskich, od końca wieku XIII, bez przerwy istniały i których barwny obraz kreślą nam relacje cudzoziemców bawiących w Gdańsku w wieku XVI

Ze względu jednak na zniszczenie historycznego Gdańska tegoroczne targi za teren swój obrały sąsiadujące z Gdańskiem miasta Wybrzeża — Sopot i Gdynię. Zgodnie z tradycją dawnych dominikańskich jarmarków otworzono je w dniu 2 sierpnia, przy czym czas trwania targu w Gdyni określono na czas do 10, w Sopocie do 30 sierpnia. Na terenach Gdyni tuż obok reprezentacyjnego Skweru Kościuszki, znalazły swe miejsce pawilony stoczni i żeglugi oraz przemysłu rybnego, importu i eksportu hodowlanego, przemysłu leśnego, jak wreszcie Związku Gospodarczego Spółdzielni R. P. „Społem“.

W Sopocie wystawiono przede wszystkim szereg dzieł rzemiosła artystycznego, włókiennictwa, galanterii i kosmetyki oraz sztuki ludowej.

Udział państw obcych i rozmiary pierwszych Międzynarodowych Targów Gdańskich były raczej skromne. Można jednak mieć pełną nadzieję, że w roku przyszłym Targi Gdańskie w naprawie już międzynarodowej skali wejdą trwale w repertuar światowych targów międzynarodowych. Doraźną korzyścią targów był nader tłumny napływ licznych rzesz zwiedzających z całego terenu Rzeczypospolitej, które przy tej okazji, zachęczone atrakcyjnością Targów Gdańskich, po raz pierwszy może zetknęły się z polską rzeczywistością morską.

Na tle barwnych i hucznych imprez zupełnie odmienny charakter miał obchód 950-lecia historycznego istnienia Gdańska, który odbył się w dniu 10 sierpnia w Gdańsku. Dziesięć wieków historii prastarego polskiego portu to wystarczający okres, by obchodowi temu nadać odpowiedni rozgłos. A jednak tegoroczne uroczystości jubileusz

Gdańska wypadły nad wyraz skromnie, lecz mimo to poważnie. Wznoszony z ruin Gdańsk nie mógł pozwolić sobie na szumne i huczne obchody. Poza ogólnymi uroczystościami, które objęły nadanie honorowego obywatelstwa Prezydentowi Rzeczypospolitej i przekazanie bloku mieszkalnego 22 rodzinom robotniczym — otwarto wystawę sztychów, rycin, map, rękopisów i starodruków pod nazwą „Stary Gdańsk“ (to znaczy „Polski Gdańsk“). A choć wystawa ta objęła zaledwie część bogatych zbiorów gdańskiej miejskiej ksiąźnicy i choć nie była ona specjalnie dobierana pod kątem jakiegokolwiek propagandy, to jednak z jej eksponatów bije do wódnie prawda, że Gdańsk nigdy nie przestał być polski, jakkolwiek były okresy, że niepolaska władza sprawowała w nim rządy.

Na wystawie główny nacisk położono na sztychy ilustrujące zabytki starego Gdańska. Znalazły się tu liczne widoki miasta od najstarszego kolorowanego miedziorytu z dzieła „Civitates orbis terrarum“ wydanego w Kolonii w drugiej połowie w. XVI, na którym nad sylwetką Gdańska unosi się tarcza herbowa z orłem polskim, poprzez szereg sztychów wieku XVII, wśród których charakterystycznym jest sztych Jakuba Hoffmana z polskim opisem miasta aż po widoki Gdańska z wieku XVIII i XIX. Poszczególne zabytki Gdańska, kościoły, młyn krzyżacki, ratusze i fragmenty życia portowego ilustrują nam bądź to najstarsze sztychy gdańskie Idziego Diekmanna z r. 1617, bądź też dzieła gdańskiego rytownika Mateusza Deischa z wieku XVIII, czy wreszcie, pochodzące z czasów ginącego już w wieku XIX — wieku pruskiej okupacji — starego Gdańska, znane powszechnie sztychy Jana Karola Schultza.

Odrębną grupę sztychów stanowią utworzone drzeworytami Antoniego Möllera typy kobiet gdańskich z początku wieku XVII czy szereg typowych dla

wieku XVIII ulicznych przekupni Gdańska, zachowanych ryłcem wspomnianego już Deischa. Przekupnie ci zachwalali swój towar często w języku polskim, a rytownik potwierdza to, podając u dołu rysunku słowa wywoływane i dźwięk ich melodii. Tę grupę uzupełniają sztychy oryginalne i reprodukcje szkiców Daniela Chodowieckiego, tego ciekawego gdańszczanina, który zamieszkałszy w Berlinie i niemal że nie używając języka polskiego, uważał się jednak za Polaka, co stwierdził we własnoręcznie skreślonym liście.

Najwybitniejsi z gdańskich mistrzów-ryfowników wieku XVII to Holender Wilhelm Hondius i gdańszczanin Jeremiasz Falck, który, by brzmienie jego nazwiska nie wprowadzało w błąd nieświadomych, podpisywał się na swych pracach stale „Falck-Polonus“. Szerzeg portretów współczesnych wybitnych Polaków to dzieła Falcka, wywołujące podziw i nieprzeciętnym artystycznym, i niebywałą pracowitością mistrza. Z dzieł Hondiusa wymienić należy ciekawy portret Władysława IV na koniu. Ryłec obu tych mistrzów zachował nam też podobizny bram triumfalnych wystawionych przez gdańszczan w r. 1646 z okazji przybycia do Gdańska Marii Ludwiki Gonzaga, przyszłej żony Władysława IV. W zbiorach Biblioteki zachowały się nawet cztery oryginalne płyty tych dzieł (dwie Hondiusa i dwie Falcka).

Z działu map wystawiono plany portu gdańskiego, mapy wybrzeża Bałtyku i Pomorza. Obok nich znajduje się i holenderski sztych przedstawiający słynną bitwę morską pod Oliwą z roku 1627.

Wśród rękopisów zwraca uwagę jeden z najstarszych zabytków rękopiśmiennych języka polskiego — tekst kilku krótkich modlitw polskich z w. XV, zachowanych na wewnętrznej karcie okładki. Ciekawe też są rękopisy dotyczące rozwoju salin wielickich, które

jako wynik zainteresowań polską przyrodą gdańskiego towarzystwa naukowego z wieku XVIII znalazły się wówczas w Gdańsku i tu już pozostały.

Wiadomo, że w Gdańsku drukowano w wieku XVII czy XVIII liczne książki polskie. Niektóre z nich znalazły się na wystawie. Mamy tu więc słowniki języka polskiego i polsko-niemieckie rozmówki Volekmarą jako jedne z licznych podręczników do nauki mowy polskiej używanych w dawnym Gdańsku i tutaj drukowanych; mamy dalej poetyczne utwory ku czci władców polskich przez gdańszczyzan pisane i w Gdańsku wydawane, a wśród nich poemat sławiący Jana Kazimierza na jednej karcie w pięciu językach. Dalej poemat polski sławiący zwycięstwo chocimskie Jana Sobieskiego i polski wiersz wyzywający gdańszczyzan do obrony króla Stanisława Leszczyńskiego. Osobną grupę stanowią rozporządzenia i edykty Rady Miejskiej Gdańska, wydawane w języku polskim w Gdańsku w wieku XVII i XVIII. Niektóre z nich drukowane są czcionką gotycką i dopiero bliższe przyjrzenie się pozwala na odczytanie polskich wyrazów. Jedną z witryn wystawy zajmują druki klasztornej drukarni cystersów z Oliwy, gdzie w ostatniej ćwierci wieku XVII drukowano liczne dzieła łacińskie, ale i polskie. W innej witrynie — artystyczne oprawy, arcydzieła mistrzów introligatorskich dawnego Gdańska, w skórze i w srebrze wyryte. A dalej dzieła słynnego astronoma gdańskiego, zarazem piwowara i drukarza, mechanika i twórcy astronomicznych przyrządów, szlifierza soczewek, rajcy Starego Miasta Gdańska — Jana Heweliusza, który odkryty przez siebie gwiazdozbiór nazwał mianem tarczy herbowej Sobieskiego.

Na ścianach rozwieszono portrety dawnych gdańszczyzan, wśród nich i He-

weliusza, i sekretarza Władysława IV a zarazem niepośledniego poety Marcina Opitza, i dawnych bibliotekarzy czy dostojników miejskich, jak Hanow, Schwarzwald i Lengnich, który ucząc dziejów polskich Stanisława Augusta Poniatowskiego i jego braci ze skryptów wykładowych skreślił pierwszy podręcznik do nauki historii polskiej w języku łacińskim. Wśród tych portretów wymienić należy także podobiznę markiza Bonifacio d'Oria, którego księgozbiór, jak wiadomo, stał się przed 350 laty podwaliną i właściwym zawiązkiem dzisiejszych zbiorów Biblioteki Miejskiej w Gdańsku.

Ostatnim punktem programu obchodu 950-lecia Gdańska było uroczyste posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku (działającego na tym terenie jeszcze od roku 1922) w sali posiedzeń staromiejskiego ratusza. Referat dra Marcina Dragana, zasłużonego prezesa Towarzystwa, byłego profesora polskiego gimnazjum Macierzy Szkolnej w Gdańsku, a obecnego dyrektora Archiwum Gdańskiego zobrazował dzieje dziesięciowiekowego istnienia Gdańska jako portu Rzeczypospolitej i miasta, gdzie polskość, acz gnębiona, nigdy nie zamarła. Doskonały pod względem artystycznym występ chóru „Moniuszko“, dawnego chóru gdańskich Polaków z okresu Wolnego Miasta Gdańska, pod batutą jego wieloletniego dyrygenta prof. Tylewskiego, zakończył zebranie gdańskiego Towarzystwa Naukowego.

W ten sposób odwrócono kartę 950-letniego istnienia Gdańska. Obchód ten, jak już podkreślono, powagą swą i brakiem hucznego rozgłosu tym silniej zadokumentował znaczenie historycznego momentu i tym większe wywarł wrażenie na tych, którzy go bezpośrednio przeżyli.

Marian Pelczar (Gdańsk)

## MIĘDZY GÓRAMI KŁODZKIMI A HEJSZOWINĄ

Jadąc pociągiem Gdynia—Poznań—Kudowa, słyszy się często rozmowy i zapytania o Duszniki, Kudowę czy Polanicę. Rzadko kto (poza handlowcami) interesuje się Kłodzkiem, a jest ono ze wszech miar godne widzenia i uwagi ze względów historycznych.

Ziemia Kłodzka leży nie tylko na szlaku handlowym idącym z Czech na Śląsk, ale i w korzystnym punkcie strategicznym. Nic dziwnego, że już przed wiekami była ona przedmiotem sporów między Przemysłidami a Piastami. Od początku XII w. prawie już na stałe zajęta przez Czechy, ale zamieszkała przez Polaków, o czym świadczą liczne zachowane dokumenty, jak nakazy i rozporządzenia władz, pozostawała pod wpływem Polski. Najlepszym dowodem tego jest jeden z najstarszych zabytków językowych, pisany w kłodzkim klasztorze kanoników regularnych, a nazywany niewłaściwie Psalterzem Floriańskim. W XV w. Ziemia Kłodzka otrzymuje godność hrabstwa, nadaną jej przez Jerzego z Podiebradu. Dziś miasto i okolice są w pełni polskie.

Minąwszy malowniczą, wśród lesistych gór wyciętą dolinę Nisy Kłodzkiej, wjeżdżamy na oble wzgórze, ostatnie przed Kłodzkiem. W szerokiej kotlinie Nisy i jej dopływów rozłożyło się u stóp najeżonej murami starej twierdzy na górze zamkowej z włoska spiętrzone miasto. Z dala już pozdrawiają nas smukła wieża ratusza i barokowe hełmy kościelne. Uroczą jest droga do centrum miasta. Most kamienny nad Bystrzycą — tylko dla pieszych — jest miniaturą mostu Karola IV w Pradze i pochodzący z 1390 roku. Zdobia go figury barokowe z XVII i XVIII w., pełne ruchu i ekspresji. Św. Wacław wysoko dzierży swój sztandar królewski, św. Franciszek Ksawery żywo przemawia do otaczających go pogan, wśród których obowiązkowo musi być Turek. Pośrodku mostu krucyfiks, naprzeciw Pietą, a na zakończenie Wniebowzięcie

M. Boskiej i nieodzowny na mostach św. Jan Nepomucen. Stromą uliczką dochodzimy do serca miasta, placu Bol. Chrobrego. Wrażenie duże. Gdy się oczy przymknie na obrzydliwe napisy firmowe, malownicze fasady starych domów przypomną nam Zamość czy warszawskie Stare Miasto sprzed roku 1944. Z dawnego ratusza po pożarze w 1886 r. pozostała smukła barokowa wieża z końca XVII w. Piękna, lekka arkadowa galeryjka kończy czworoboczną podstawę, a śmiało wznoszący się w dwóch kondygnacjach hełm wieńczy żelazna chorągiewka z czeskim lwem herbowym. Smukła sylweta wieży, widoczna zewsząd, króluje nad miastem. Obudowano ją w latach 80-tych ubiegłego stulecia monumentalnym, choć trochę pretensjonalnym neobarokowym zrębem architektonicznym ratusza. Grand'Place Kłodzka zdobią dwie grupy rzeźb. Pierwsza — to studnia, której głównym akcentem jest czeski lw herbowy. Dziś śpi on wśród maszkaronów i potworów wodnych, bo fontanna nieczynna i dwie czary — górna i dolna — stoją puste. Po drugiej stronie ratusza, przesłonięta niestety rozrosłymi drzewami, wznosi się na niezmiernie strzelistej kolumnie barokowa Madonna. Na cokole kolumny — postaci świętych i aniołów. Kolumnę wzniesiono w roku 1680 po pożarach i zarazach, które wyniszczyły miasto.

W każdej z wąskich ulic, które pięcioma promieniami łączy rynek z miastem, pełno zabytkowych domów o sklepieniach gotyckich, pięknych renesansowych portalach, o pełnych wdzięku frontonach barokowych, czy kapryśnych rokokowych, o dostojnych empirowych fasadach. Trzej święci ze szczytu pięknej barokowej bramy zapraszają nas do fary. Kościół porywa swym przepysznym czesko-austriackim barokiem, który w cień usunął jego gotyk, pozostawiając go tylko w oknach wieży, portalach i resztkach luków przypor-

nych. Wewnątrz zachowano gotyk jeszcze w nawach bocznych i łukach podtrzymujących empory. Wspaniałe, bardzo wysoko zawieszone sklepienie gwiaździste pochodzi z połowy XVI w. Wypełnione jest późniejszą, stiukową, plastyczną ornamentacją rozetową i postaciami skrzydlatych aniołów. Niżej zwycięża barok. Pyszni się lśniącymi stiukami nad łukami arkad, pozłocistym rozmachem wielkiego ołtarza (1725 r.), spiętrzonego górą rzeźb, wokół cudami słynącej Madonny Kłodzkiej (XIV w.). Malowidła na plafonie nad w. ołtarzem porywają symfonią niebiesko-srebrzystych tonów w scenie Wniebowzięcia M. Boskiej. Ambona (i tu barok) opowiada szeroko o prorokach w klasycyźnie jasných scenach reliefowych u wejścia i o czterech ojcach kościoła na jej balustradzie. Symbolami ewangelistów na przykryciu ambony przygotowuje scenę Przejścia, jako wieńczącą całość kompozycji.

Niedaleko wielkiego ołtarza przy ławkach umieszczono w XIX w. bardzo nieszczęśliwie rzeźbę marmurową, przedstawiającą kłęzącą postać pierwszego arcybiskupa Pragi (um. 1363) Arnesta z Pardubic (rzeźba Jandy, ucznia Raucha). Pierwotny pomnik biskupa z XIV w. w duchu parlerskim znajduje się w północnej nawie bocznej. Leżąca na marmurowej tumbie figura jest w stanie oplakany. Związana z tym faktem zniszczenia legenda mówiła, że gdy odpadnie głowa biskupa, Niemcy legną w prochu i pyłe. Dziwnym zbiegiem okoliczności podobno na rok 1945 przypadło ostateczne rozpadnięcie się głowy.

Z kościołem łączy się wspaniały gmach kolegium jezuickiego (Carla Lurago, 1655—88), dziś częściowo zajęty przez gimnazjum. W drugiej części należącej do zarządu duchowieństwa zachowało się wiele ciekawych rzeźb i obrazów związanych z życiem zakonu.

Zwiedzając zbarokizowany i odnowiony w XIX w. kościół minorytów, znajdujemy jeszcze w dawnym refek-

tarzu świetnie zachowany w barwach, bardzo przejrzysty i pełen plastyki plafon F. A. Schefflera z r. 1743.

Wśród śladów kultur oddziaływających na Kłodzko uderza ciężki duch fryderycjański w twierdzy dominującej nad miastem. W duchu francuskim za to utrzymane są z tego samego okresu pochodzące koszarzy w jednej z ulic wychodzących z rynku.

Kłodzko może iść w paragon z innymi europejskimi miastami zabytkowymi i o tym należy pamiętać, przestrzegając więcej sprawy czystości i higieny.

Jedną z najbardziej malowniczych jest linia kolejowa, idąca zrazu doliną Bystrzycy przez Polanicę-Zdrój do Kudowy. (Czas byłby pousuwać wszelkie niemieckie napisy widoczne z pociągu, jak np. „Blümchenhaus“; czy „Villa Rudolph“). Towarzyszą sobie kolej, szosa, potok. Zwyczajny zespół gór. Horyzont zamyka szeroka, płaska ściana Hejszowiny. Woda oddala się. Wjeżdżamy znów w lesiste góry nad Duszniki ukryte w zieleni. Szaro-fioletowy asfalt szosy wiernie towarzyszy nam zza drzew szpilkowych i liściastych. Wbrew nastawieniu na przeważnie starych kuracjuszy zewsząd słychać gwar i śmiech młodych i zachlystujący się od radości szcziebiot dzieci. Mijamy romantycznie położony Lewin z pięknym kościołem i zaczynamy zjeżdżać w przesłoniętą smugą dymu, szeroko rozłożoną kotłnię Kudowy. Dwa kominu pracują tu bez przerwy; fabryki tekstylnej w Zakrzcu i zakładowy w Kudowie. Uzdrowisko idzie pełną parą. Nie widać tu zniszczeń wojny. Ogromny park o wspaniałym drzewostanie, pełen rabatów i kwietnych gazonów. Moc wygodnych ławek i altan. Osobliwością jest olbrzymi, o klasycznym pokroju świerk, którego gałęzie, opierające się o ziemię, tworzą wonny namiot, gdzie można schronić się przed deszczem czy upałem.

Uderza nowy duch. Leczą się wszyscy: robotnicy i urzędnicy, pracownica fa-

bryczna i nauczycielka, konduktor i ksiądz. Wszyscy korzystają z pensjonatów, zajętych przez różne instytucje: ministerstwa, organizacje samorządowe, przedsiębiorstwa i partie polityczne. Znikoma ilość hoteli należy do ludzi prywatnych. Chorzy, korzystając z doskonałych kąpeli gazowych, borowinowych, chwają sobie zabiegi hydropatyczne i elektroterapię. Sprawność obsługi zaprzecza pogłoskom, jakobyśmy po odejściu Niemców nie potrafili sobie poradzić. We wspaniałej, jasnej, ogromnej „pjalni“ przy dźwiękach niżej muzyki przechadzają się kuracjusze, celebując ceremonię picia wody nieodzownie przez rurkę. Jeżeli uderza nas jakaś różnica z przedwojennymi czasami, to może najbardziej charakterystyczna prócz wspomnianego „upowszechnienia“ kuracji jest pewnego rodzaju pajdokracja, której ulegamy wszyscy. Na skutek tego podczas koncertu rozlegają się często okrzyki i tupot rozbrykanej dzieciarni. Uśmiechamy się tylko.

Okolica piękna. Niemal każdy robi małą pielgrzymkę do bliskiej Czermnej, gdzie obok kościoła znajduje się barokowa kaplica z 1776 r. Całe jej wnętrze zbudowane jest z czaszek i piszczeli ludzkich na wzór podobnych włoskich. Są to kości poległych w czasie wojny 30-letniej i wojen z Prusami o Śląsk. Czyste i białe, a jednak nie możemy się otrząsnąć z makabrycznej atmosfery kaplicy. Dlatego z ulgą patrzymy na pełną życia i gwaru wioskę, słuchamy z odprężeniem śpiewu „zuchów“ harcercskich i świergotu ptaków.

Czy nie ma w tej uzdrowskiej części polskich Sudetów cieni? Zapewne znajdują się liczne: braki aprowizacyjne, niejednokrotnie bagatelizowana sprawa higieny, niezbyt wygodna komunikacja autobusowa itd. Pamiętać jednak trzeba, żeśmy dopiero od dwóch lat gospodarzami tej ziemi, i to po najstraszniejszej z zawieruch wojennych. Wszędzie natomiast widać wysiłek i wiarę we własne siły.

Maria Boberska (Kłodzko)

## ZACHODNIO-POMORSKIE PROBLEMY KULTURALNE

Ileokroć porusza się zagadnienia kulturalne Pomorza Zachodniego, zaraz na wstępie dochodzi się do stwierdzenia, że sieć instytucji i organizacji kulturalnych, zawieszona na dwóch naturalnych podporach — Gdańsku i Szczecinie — znajduje się w oplakanyam stanie.

Z perspektywy doświadczeń dwóch lat widać, że dwa te rezerwuary kulturalne jak dotąd nie spełniły swego zadania, przesączając w teren pomorski znikomą zaledwie i tylko gdzieniegdzie docierającą treść kulturalną. Środowisko gdyńsko-gdańskie, liczniejsze i bogatsze, ustępuje szczecińskiemu pod względem dynamicznej prężności, szczecińskie zaś wzrosło na nowiźnie kulturalnej, organizując się z trudem, nie ma sił dostatecznych, by zaspokoić potrzeby kulturalne prowincji pomorskiej.

Czas tymczasem upływa i dziś stanęliśmy wobec stwierdzenia, że setka miast, miasteczek i osiedli znajduje się poza zasięgiem kultury. Fakt to tym groźniejszy, gdyż oznacza, że w procesie scalania zróżnicowanych elementów ludnościowych w jednolite społeczeństwo brak dotąd ważnego — kto wie, czy nie najważniejszego — zespalającego lepiszcza, jakim jest kultura.

Czas więc najwyższy, ocknąć się z egzaltacji nad rozwojem życia kulturalnego Szczecina, rozwojem niewątpliwym i niewątpliwie znacznym, a pomyśleć o opracowaniu planu upowszechnienia dóbr kulturalnych, by co rychlej zaradzić dotychczasowemu — nie waham się użyć tego słowa — katastrofalnemu stanowi kultury na prowincji pomorskiej. Pozostawienie mieszkańców

wszystkich tych Gryfic, Lipian, Świdwinów, czy Szczeciniaków bez kulturalnej rozrywki, gazety, radia, odczytu, czy możliwości oglądania wystawy byłoby na dalszą metę uszczupleniem potencjału narodowego przez lekkomyślne stępienie wrażliwości i chłonności kulturalnej setek tysięcy ludzi.

Zagadnienia życia kulturalnego, umieszczane dotąd w szeregu potrzeb i problemów gospodarczych i społeczno-politycznych gdzieś daleko na szarym końcu, zaczynają szczęśliwie odzyskiwać należne im miejsce. Zapoczątkowana na łamach prasy dyskusja na temat upowszechniania kultury, zajęcie się tą sprawą przez K. C. Z. Z. — są najlepszym tego dowodem. Kwestie te — skomplikowane i zgoła nie łatwe — zostaną rozstrzygnięte generalnie. Woźno przypuszczać, że wybrane zostanie ziarno, wskazani siewcy, oddane do użytku odpowiednie urzędnicy i — siew kulturalny zostanie rzucony. A żadna może dzielnica Polski nie czeka na siew ten z takim utęsknieniem jak właśnie odłogiem dotąd leżące Pomorze Zachodnie.

Krótki przegląd placówek kulturalnych rozsianych po Pomorzu Zachodnim wykazuje drobne, z trudem przebijające się ponad twardą powierzchnię codziennego życia, skromne zaledwie pierwiorki kultury w Białogardzie, Koszalinie, Sławnie i Słupsku. Teatr białogardzko-koszaliński i — do niedawna istniejący a obecnie (w sposób i z powodów, które różnie i szeroko można by komentować) rozbity — słupski, muzea regionalne, Towarzystwo Naukowe w Słupsku — to bodaj wszystko, co zasługiwałoby na uwagę. Wprawdzie oficjalnie wykazy i sprawozdania usilują twierdzić co innego, ich optymizm jednak nie opiera się na rzeczywistości. Cóż z tego, że np. kół literackich liczy się oficjalnie siedem (By-

tów, Gryfice, Gryfin, Koszalin, Myśliborz, Słupsk, Szczecin) gdy właściwie zaledwie trzy z nich (Szczecin, Słupsk, Koszalin) wykazują żywszą działalność. Domy Kultury widnieją na mapie województwa nawet tam, gdzie w rzeczywistości należałoby namalować niepokojącą i alarmującą białą plamę... Często-kroć natomiast budynek tym szczytnym mianem oznaczany służy „wieczorkom“ tanecznym lub przygodnym akademiom, na codzien zaś ziele chłodem i pustką. Oberwana firanka, niby tragiczny symbol, wisi w oknie jednego z tych domów tak samo dziś jak przed rokiem... I nic dziwnego, skoro opiekę nad Domami Kultury sprawuje nie wiedzieć kto, czy czynnik społeczny, czy samorząd miejscowy. W zasadzie te domy Urzędy Informacji i Propagandy przekazały T. U. R.-owi, który jednak wszedł w posiadanie zaledwie 9 Domów Kultury i około 10 lokali świetlicowych. Stąd też placówki wzorowe — jak w Myśliborzu i Sławnie — należą do rzadkości.

Promieniowanie kulturalne Szczecina i Słupska, ograniczone brakiem ludzi i środków, nie obejmuje swym zasięgiem ogromnych połaci Pomorza. Nieo lepsza niż gdzie indziej żywotność kulturalna wschodnich powiatów województwa, którym osocza kulturalnego dostarczyły w pierwszym okresie zagospodarowywania województwa pomorskie i gdańskie, nie zmienia faktu ogólnej anemii kulturalnej pomorskiej prowincji. Rezultaty wysiłku szkolnictwa, które w roku ubiegłym zdołało zagaęścić sieć szkół przeciętnie trzykrotnie, zawisną w powietrzu, jeśli nie zostaną podtrzymane i kontynuowane przez książkę, radio, teatr, gazetę, świetlicę, chór, kółko amatorskie. Wprawdzie książki ruszyły szerokim strumieniem na Pomorze, ale owe 10 milionów zł zebrane z funduszy państwowych, samorządowych i składek publicznych nie zmienia sytuacji, jeśli tych,

dla których przeznaczają się książki, nie nauczy się czytać i korzystać z czytania.

Głód wszelkich form kultury jest wielki i nie zaspokoi go rzadka wizyta objazdowej ekipy Filmu Polskiego, a tym mniej gangstersko-pasożytnicze występy różnych pseudo-kulturalnych imprez. Przez nikogo nie kierowane i nie kontrolowane miejscowe poczynania błądzą po manowcach, na których „kultura” wydadają się „Noc posłubna” lub „Moje bobo i ja”. Pojęcie o plastyce nie wyrobi „przepych kostiumów” cygańskiej rewii, a kultury muzycznej w należyty sposób reprezentować nie zdoła jeden człowiek, sam wygłaszający prelekcje o wykonywanych utworach.

O ile inne dziedziny życia wyszły już ze stadium organizacji i zostały należycie uporządkowane, o tyle życie kulturalne ciągle jest widownią pionierskich wysiłków jednostek, wysiłków nie zawsze szczyrych.

Ciemne barwy obrazu kultury prowincji pomorskiej budzą poważne refleksje, z których rodzą się palące postulaty, stawiane zarówno społeczeństwu jak i władzom. Oto najpilniejsze z nich: a) rozszerzenie i zagęszczenie sieci Domów Kultury, scentralizowanie w nich życia osiedla. Należałoby równocześnie ustalić ich kierownictwo, na kierowników wytypować ludzi sumiennych, przeszkolić ich, wesprzeć pomocą (nie 40 zł za godzinę pracy świetlicowej!) i kontrolować; b) ożywienie sennej dotąd działalności wojewódzkiego Oddziału Towarzystwa Teatrów i Muzyki Ludowej, stworzenie specjalnego ośrodka instruktorskiego dla zespołów amatorskich, kostiumerni, biblioteczki teatralnej, poradnictwa świetlicowego; c) uaktywnienie działalności sekcji kulturalnych Związków Zawodowych z położeniem szczególnego nacisku na akcje samokształceniową; dziedzinę tę należałoby ściśle powiązać z Oświatą Dorosłych prowadzoną przez Kuratorium;

d) uintensywnienie radiofonizacji Pomorza Zachodniego; jest to dziedzina ważna i upowszechnianiu kultury niesłuchanie pomocna, a prawie nie ruszona; e) zobowiązanie teatrów zawodowych do objazdów po większych osiedlach; f) zobowiązanie ośrodków naukowych i literackich do wysyłania na prowincję prelegentów oraz zasilania ludźmi i materiałem odczytowym ośrodków o uboższych możliwościach; g) stałe podsyćanie wszelkich przejawów życia kulturalnego drogą konkursów, premii, turniejów zespołowych i wystaw.

Wszystko to wymaga trzech zasadniczych posunięć organizacyjnych: 1. stworzenia instytucji nadrzędnej, nie tylko z urzędu, ale i *con amore* opiekującej się kulturą i jej upowszechnianiem, w postaci Wojewódzkiej Rady Kultury, na wzór posiadanych przez inne województwa; 2. nawiązania ściślejszej współpracy i wzajemnej wymiany dóbr kulturalnych między Pomorzem Szczecińskim a Gdańskiem — w pierwszym rzędzie — i ośrodkami kulturalnymi w Polsce centralnej; 3. przeprowadzenia ożywionej akcji osadnictwa kulturalnego. Kultura — podobnie jak inne gałęzie życia społecznego — wymaga pieniędzy i ludzi. Tych ludzi trzeba na Pomorze ściągnąć, dać im warunki bytowania, choćby nawet drogą pewnego rodzaju uprzywilejowania. Wzorem takiej akcji mogłoby być osadnictwo wojskowe.

O taką armię ludzi kultury, ludzi pióra, teatru i tonu wołają pomorskie ugory kulturalne. A gleba jest żyzna, warta przeorania i obiecująca stokrotne plony. Organizm społeczeństwa pomorskiego jest zdrowy, trzeba mu tylko światła, ciepła i powietrza. Wówczas arterie kulturalne wypełnią się czerwoną krwią, zasilającą obficie drobniejsze naczynka krwionośne i — znikną białe plamy na mapie kulturalnej Pomorza Zachodniego.

Walerian Lachnitt (Szczecin)



## TORUNSKI ŚWIAT NAUKOWY

Najpiękniejsze z czterech przedmieść Torunia to Przedmieście Bydgoskie; najpiękniejsze ulice to ul. Szopena i jej przedłużenie — Bydgoska. Ul. Bydgoska — szeroka aleja starych kasztanów, obrzeżona domami, na pół ukrytym w głębi ogrodów — szczególnie ma urok na wiosnę, gdy kasztany są w rozkwicie. Ul. Szopena, łącząca Bydgoską ze śródmieściem, nie ma domów wcale; po obu jej stronach ciągną się starannie utrzymane plantacje miejskie, poprzecinane wylotami przecznic, a zamyka ją Łuk Cezara i panorama ciasno sfalowanych średniowiecznych budowli. Jeden tylko gmach wychodzi swą szeroką fasadą na ul. Szopena, ale do niedawna wcale jej nie upiększał. Przez całą wojnę stał niedokończony, ociekając brzydką czerwiecią nie otynkowanych ścian, zięcący pustką niewypełnionych szybami okiennych oczodolów. Przed gmachem rozciągał się spory plac, poryty na pół rozwalonymi schronami, stanowiącymi od ukończenia wojny śmietnik okolicznych mieszkańców, którego zimą nie umiał należycie osłonić śnieg, a latem — skapa trawa. Odrażającą szpetotę tego miejsca łagodziły nieco kępy rozrośniętych topoli, na których panoszyły się zimą stada kawek i kłębki jemioli, a z których wiosną ulatywały unoszone wiatrem puchy podobne do waty.

Aż oto pewnego dnia z końcem zimy zaroilo się na placu od kobiet z taczakami i lopatami i gmach spowity ciasno rusztowania, a po paru miesiącach plac stał się przyjemnym dla oka zielonym trawnikiem przeciętym dwiema szerokimi, żółtymi drózkami urozmaiconym kępami kwieciami, a gmach wylonił się ze zdjętych rusztowań elegancki, szlachetny w bryle i barwie, jasno-szary, odbijający niebo w mnóstwie szyb, nad którymi z wesołym piskiem lepily gniazda jaskółki. Powstał jeden z najpięk-

niejszych i najokazalszych zakątków Przedmieścia Bydgoskiego.

A innego słonecznego majowego poranku poważny gmach ustroił się od szczytu do ziemi w poczwórny strumień falujących z lopotem bialo-czerwonych wstęg i w dekoracyjne egzotyczne rośliny, ustawione dookoła ganku. W obszernym hallu stanął prowizoryczny, w kwiatkach i zieleni tonący ołtarz. Dookoła ciżba ludzi ubranych odświętnie, poważnych, skupionych, radosnych. Dokonywa się uroczyste poświęcenie gmachu przez biskupa Kowalskiego, który wygłasza następnie podniosłe przemówienie. Po czym tłum płynie po szerokich, płaskich schodach na piętro, zapelnia ciasno ogromną salę. Trybunę zajmują kolejno różni mówcy: minister i wiceminister Skarbu, delegat Ministerstwa Oświaty, wojewoda pomorski, kurator O. S. P... Ciągną się przemówienia długim szeregiem. Ton ich jednak: wszystkie dźwięczą dumą z powstania nowej, donioślejszej placówki, uznaniem dla jej twórców.

Cóż to za placówka i co za uroczystość w tym historycznym w dziejach kultury polskiej dniu 10 maja 1947 r.?

Otwarcie Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu.

Niezapomniany dzień!

Życie naukowe Torunia skupiało się przed wojną w Tow. Naukowym, istniejącym od 1875 r., w Instytucie Bałtyckim i Książnicy Miejskiej im. Kopernika. Dziś ogniskiem, skupiającym wszystkie wysiłki na polu nauki stał się silny zespół uniwersytet nie tylko dlatego, że jest to najliczniejszy ze wszystkich zespół naukowców wszelkich stopni, ale i dlatego, że profesorowie U. M. K. od początku wzięli nader czynny udział w ruchu kulturalnym miasta i prowincji, że żadna impreza kulturalno-oświatowa nie obywa się bez ich udziału, że są żywym łącznikiem pomiędzy uniwersytetem a niezależnymi

odeń instytucjami o charakterze naukowym lub artystycznym.

Posiadanie własnego uniwersytetu było od lat 560 marzeniem i ambicją Pomorza, w szczególności Torunia, wiekowe zaś wysiłki zmierzające do realizacji tego marzenia omawia wyczerpująco prześliznięcie wydana książeczka pt. „Prehistoria U. M. K. w Toruniu”, opracowana przez dwóch autorów: dyr. Bibl. Uniwer. Stefana Burhardta i asystenta U. M. K. Józefa Mossakowskiego. Dowiadujemy się z niej, że już Krzyżacy wystarali się u papieża Urbana VI o bullę, zezwalającą im na zorganizowanie w Chełmnie *studium generale* na wzór Bononii z wydziałem teologicznym obojga praw i innymi wedle uznania organizatorów, z prawem wydawania dyplomów magisterskich i doktorskich. Bulla datowana jest 9. II. 1386, adresowana zaś do w. mistrza Konrada Zołnera z Rotenstein, Rychła śmierci w. mistrza, rozruchy w Chełmnie i wreszcie klęska Krzyżaków pod Grunwaldem przeszkodziły realizacji tego zarządzenia. W końcu XVI w. starania o uniwersytet w Toruniu wszczynają burmistrz tego miasta Henryk Stroband. Myśl ta, nie urzeczywistniona, nie zamarła. W porozbiorowych czasach żywili ją Niemcy, chcąc z wyższej uczelni w Toruniu uczynić narzędzie germanizacji Pomorza. W międzywojennym dwudziestolecu odżyła w pismach i działalności ks. prałata Mańkowskiego, dyr. Inst. Bałtyckiego Józefa Borowika, kierownika Książnicy Miejskiej Zygmunta Mocarńskiego („O potrzebie Wyższ. Szkolnictwa na Pomorzu”, 1938).

Jednakże przed wojną usiłowania rozbiły się o brak dostatecznej ilości sił naukowych dla większej rozbudowy szkolnictwa wyższego.

Zaledwie burza wojenna przewalila się nad Polską, dla wszystkich czujących i myślących po polsku i po obywatelsku stało się od razu jasne, że Pomorze musi mieć polski uniwersytet i że najwłaściwszą dla niego siedzibą będzie Toruń, miasto predestynowane

na ośrodek kulturalny, promieniujący na całą ziemię pomorską, tak jak Bydgoszcz predestynowana była od razu na ośrodek administracyjny i ekonomiczny.

Pragnienie erygowania uniwersytetu w Toruniu wyrażały rezolucje wszystkich poważniejszych instytucyj Torunia (jak Tow. Naukowe, M. R. N., Z. N. P. i inne). Pragnienia te skupiał i skoordynował P. Z. Z., którego dzielny i energiczny prezes Emil Ogłóza położył niespożyte zasługi dla zrealizowania idei uniwersytetu toruńskiego. Na zebraniu 14. III. 1945 r. zredagowano memorial do Warszawy, domagający się: a) uniwersytetu w Toruniu, b) przeniesienia z Bydgoszczy do Torunia Instytutu Bałtyckiego, c) pozostawienia w Toruniu K. O. S. P.

Początkowo wobec braku kadr profesorskich myślano o przeniesieniu do Torunia uniwersytetu im. Curie-Skłodowskiej z Lublina, uważając, że Lublinowi wystarczy jeden uniwersytet, ale z przybyciem na Pomorze repatriowanych profesorów i niemal całego personelu U. S. B. z Wilna, zaistniała możliwość skompletowania nowego zespołu uniwersyteckiego. Jakoż 25% pracowników U. M. K., od dziekanów do woźnych, stanowią byli pracownicy U. S. B.

13. IV. 1945 odbyło się pierwsze zebranie Komisji Organ. Uniwersytetu, który nie rozporządzał wtedy jeszcze ani jednym gmachem, ani jednym sprzętem. W listopadzie tegoż roku rozpoczęły się wykłady, a 5. I. 1946 odbyła się uroczysta inauguracja.

Uniwersytet posiada obecnie pięć gmachów, w których prowadzi się ćwiczenia i wykłady, wspaniały gmach biblioteki uniwersyteckiej oraz kilka majątków pod Toruniem; rozporządza dwoma domami akademickimi oraz paru domami mieszkalnymi dla profesorów.

Uniwersytet posiada 4 wydziały: humanistyczny (27 katedr), matematyczno-przyrodniczy (23 katedry), prawny i nauk społecznych (17 katedr) i sztuki (9 katedr).

Na wydziale sztuki wszystkie katedry są obsadzone, na innych brakuje po dwóch lub trzech profesorów, ale studenci nie tracą na tym, bo wykłady i ćwiczenia prowadzą zastępczo asystenci.

Z największymi trudnościami boryka się wydział matematyczno-przyrodniczy. Należyte wyposażenie laboratoriów we wszelkiego rodzaju pomoce naukowe nie jest sprawą mizernych dwóch lat ani powojennego oszczędnościowego budżetu. Jednakże najważniejsze braki już są przezwyciężone i praca idzie normalnie. Oczkiem w głowie U. M. K. jest, ma się rozumieć, astronomia; właśnie w końcu czerwca na skutek starań, podjętych przez astronomów toruńskich, nadeszła do Torunia cenna przesyłka z Ameryki z Harvard College Observatory — mianowicie duża luneta o historycznym znaczeniu, gdyż pracowała nią znana amerykańska astronomka Anna Cannon, gdy sporządzała ceniony w nauce katalog widm gwiazd. Luneta, jak na stosunki amerykańskie, już mocno przestarzała (z r. 1880), ale jak na nasze, o wiele skromniejsze, jeszcze bardzo wartościowa i mogąca służyć nauce polskiej z wielkim pożytkiem, stąd radość i dumna toruńskich astronomów, ale zarazem i wielka troska, bo adaptacja lunety do naszej szerokości geograficznej, wybudowanie odpowiedniego pomieszczenia dla niej i uruchomienie jej wymaga kosztów, na które na razie nie ma kredytów.

Inne wydziały nie mają tak poważnych kłopotów, jakkolwiek nie są one wcale wolne od wielu trosk. Wprawdzie łatwiej o książki niż o kosztowne narzędzia, ale bibliotekę seminaryjną i poszczególnych kół naukowych są dopiero w zawiązku, a księgozbiór biblioteki głównej, składający się w znacznej mierze ze zbiorów poniemieckich, jakkolwiek liczny, ma charakter przypadkowy i nie spełnia jeszcze należytego swego zadania. Ale że biblioteka to znów chluba uniwersytetu i pieszczona dziecko rektora Kolankowskiego, więc

też rozwija się systematycznie i szybko. Znaczne sumy są wciąż wydatkowane na zakup książek polskich, których brak silnie daje się we znaki. Przychodzą też raz po raz przesyłki wartościowych książek z Ameryki, dary Polonii amerykańskiej.

O intensywnej pracy profesorów i studentów świadczy pokaźna liczba zdawanych co roku egzaminów. Jakkolwiek U. M. K. istnieje dopiero od dwóch lat i nie mógł jeszcze wyprodukować własnych absolwentów, wydał jednak bardzo dużo dyplomów tym, co rozpoczęwszy lub nawet ukończywszy studia, nie zdążyli jednak przed wojną zdać egzaminów końcowych. Tak tedy wydział matematyczno-przyrodniczy ukończyło ze stopniem magistra kilkanaście osób, wydział prawniczy — kilkadziesiąt, wydział humanistyczny — sto kilkadziesiąt osób. Doktorat na wydziale matem.-przyrodniczym uzyskały 3 osoby, na wydziale prawnym i nauk społecznych — 5 osób, na wydziale humanistycznym — 8 osób.

Habilitacyj odbyło się ogółem 6: trzy na wydziale matem.-przyrodniczym: dra Sylanowicza Witolda z anatomii, dra Premika Józefa z geologii, dra Szeligowskiego Stanisława z astronomii, i trzy na humanistyce: dra Kielskiego Bolesława i dra Łopatyńskiej Lidii z romanistyki oraz dra Lechickiej Jadwigi z historii.

Tow. Naukowe, założone w r. 1875, było przed wojną głównym środowiskiem ruchu naukowego w Toruniu. Po wojnie zorganizowało się na nowo i dokonawszy przeglądu bolesnych strat w ludziach i zbiorach spowodowanych przez kataklizm wojenny, wróciło do przerwanej działalności. Zasilone dopływem nowych sił naukowych, gdyż członkami Towarzystwa zostali wszyscy profesorowie i wielu asystentów, pracuje wydajnie, choć bez rozgłosu.

Instytut Bałtycki powstał w Toruniu na początku międzywojennego dwu-

dziesięciolecia. W r. 1936 przeniósł się do Gdyni, pozostawiając w Toruniu tylko wydział pomorzoznawczy, który jednak po wojnie nie sprostął trudnościom natury lokalowej i wywędrował do Bydgoszczy z niewątpliwą dla Torunia stratą.

W związku z uniwersytetem pozostają filie różnych ogólnopolskich zrzeszeń naukowych, jak Tow. Historyczne, Tow. Przyrodnicze, Tow. Literackie im. A. Mickiewicza, Zw. Bibliotekarzy i Archiwistów i inne.

Ruch wydawniczy w całej Polsce walczy dziś z dotkliwym brakiem papieru, więc nie jest pod tym względem lepiej i w Toruniu. Mimo to ruchliwa księgarńia Szczęsnego wydała kilkanaście broszur treści naukowej lub naukowo-popularyzatorskiej, opracowanych przez profesorów U. M. K. Z nich niewątpliwie najcenniejsza jest „Poezja jako wyraz. Próba nowej teorii poezji“ prof. Konrada Górskiego. Nadzwyczaj ożywionej i ciekawej dyskusji nad tą książką poświęciło jedno ze swych zebrań Tow. Literackie im. Mickiewicza. Pomimo przysłowiowego szukania dziury na całym, żadna teza autora nie została w toku dyskusji obalona, ani nawet podważona. Książka prof. Górskiego zdobyła sobie mocną i zapewne trwałą pozycję w teorii literatury polskiej.

Zapoczątkowane przez śp. Zygmunta Mocarskiego, długoletniego kierownika Książnicy Miejskiej im. Kopernika, wydawnictwo Książnicy zostało wznowione po wojnie. Estetycznie wydana broszurka kierowniczkii p. Janiny Przybyłowej, „Książnica Miejska wobec lawiny“ referująca straty instytucji, jest już nieaktualna wobec odzyskania zrabowanych zbiorów. Praca zbiorowa pt. „Zygmunt Mocarski“ jest hołdem, złożonym jego świetlanej postaci. Życiorys zasłużonego działacza toruńskiego Ottona Steinborna opracowuje właśnie kierowniczka Archiwum Miejskiego p. Helena Piskorska.

O piękną szatą graficzną swych wydawnictw dbało niezmiernie Tow. Bibliofilów im. Lelewela, które wydało przed wojną 6 pozycji. Obecnie zaś przygotowuje dwie prace Z. Mocarskiego o ekslibrysach jako wydanie pośmiertne.

Ukoronowaniem działalności wydawniczej jest wydanie przepięknej Teki Toruńskiej: 8 drzeworytów Bogusława Marschalla, przedstawiających najcenniejsze zabytki miasta, z tekstem słownym Stanisława Matysika.

Janina Budkowska (Toruń)

## Z KRONIKI KULTURALNEJ POZNANIA

Mimo istnienia tak pożytecznych i koniecznych placówek, jakimi są miejskie i wojewódzkie wydziały kultury i sztuki wraz z ich komórkami prowincjonalnymi, zorientowanie się w całokształcie wydarzeń kulturalnych miasta Poznania i województwa napotyka na ciągle trudności, spowodowane brakiem systematycznego rejestrowania i publikowania (w odpowiednich czasopismach) kompletnego diariusza kultury naszego regionu. Dla przyszłego historyka kultury pewne

fakty pominięte i przeoczone mogą stanowić dużą lukę i zniekształcić obraz badanego odcinka kultury, a w każdym razie, jak to niejednokrotnie ma miejsce w badaniu przeszłości, przysporzą mu wiele zbytecznego trudu. Niniejsze uwagi nie roszczą sobie pretensyj do całkowitego wyczerpania przedmiotu i obejmują tylko ważniejsze przejawy kultury dotyczące miasta Poznania w pierwszym półroczu 1947.

Jeśli istniały w poprzednich okresach mniej lub więcej szczęśliwe próby stworzenia życia literackiego Poznania, objawiające się na zewnątrz w słowie drukowanym, to ambicje te zwiędły, jak anemiczne kwiaty. Poznań nie tylko nie posiada czasopisma literackiego, ale nawet literackie dodatki dzienników miejscowych (prawdopodobnie z braku papieru) znikają na korzyść czterostronicowych nowin sportowych. Gdy po otwarciu Wystawy Norwidowskiej wypadło coś o tym ważnym fakcie donieść społeczeństwu, dawano akurat tyle miejsca, ile na ogłoszenia o przydziałach kartkowych. (Sytuacja zmieniła się na korzyść w ostatnich dniach miesiąca sprawozdawczego).

Za to słowo żywe, a więc wszelkie wykłady i prelekcje potrafiły zaspokoić chłonność rozmaitych zainteresowań. Ilościowo, nie dbając o dobór, lecz kierując się raczej przypadkiem, rekordową liczbę osiągnęły imprezy „Czytelnika“ (około 30). Prócz impresyj z podróży amerykańskiej wygłaszali odczyty profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego, lekarze i publicyści, w ciekawych i praktycznych nie raz pogadankach ujmując tematy medyczne, literackie, socjalno-polityczne, obyczajowe. Odczyty organizowane przez „Czytelnika“, pomyślane jako popularyzatorskie, spełniają niewątpliwie jako takie swoją rolę, a staną się bardziej jeszcze pożyteczne, gdy w przyszłym sezonie ulegną racjonalnemu rozplanowaniu, jeśli chodzi o dobór prelegentów i materiału.

Czwartki Literackie w porównaniu z ubiegłym półroczem były bardziej atrakcyjne. Z prelegentów pozapoznańskich słyszeliśmy dwukrotnie Konrada Górskiego (O istocie poezji; Żeromski a romantyzm polski), którego prelekcje dzięki wielkiemu urokowi i sugestii słowa ściągały nawet w czasie kanikuly liczne rzeszy publiczności; słyszeliśmy interesujący wykład K. Wyki — O za-

gadnieniu młodości w literaturze, Makowieckiego (Walka Żeromskiego ze Smętkiem), T. Mikulskiego (Związki kulturalno-literackie między Poznaniem a Wrocławiem w XIX w.), J. E. Płomińskiego (Tajemnica geniuszu), J. Iwaszkiewicza (Moje wspomnienia o K. Szymanowskim), J. Przybosia (O współczesnej poezji polskiej). Z poznańskich prelegentów mówili: Z. Szwejkowski (A. Fredro a cywilizacja miejska), W. Kubacki (Współczesna literatura obozowa i wojenna), A. Rogalski (O Przybyszewskim), M. Wicherkiewiczowa (Sylwetki dawnego Poznania). W ramach Czwartków odbyły się także dwa wieczory autorskie: E. Morskiego i St. Bąkowskiego, nie cieszące się zbytnią frekwencją.

Z inicjatywy Towarzystwa Współpracy Kulturalnej, czyli w tak zwanych Środach Wojewódzkich, między innymi brali także udział wyżej wymienieni prelegenci: W. Kubacki miał odczyt o Mauriac'u, K. Wyka — O prozie polskiej w latach 1939—46, J. E. Płomiński — O krytyce Kretschmerowskiej teorii genialności, J. Przybós — O nowych ideach w plastyce, T. Kotarbiński — O zasadach etyki niezależnych, R. Ingarden — Kilka uwag o sztuce filmowej. Prócz tego odbyły się dwa wieczory autorskie: J. Iwaszkiewicza i E. Morskiego, oraz wspaniały wieczór ze słowem wstępnym A. Chybińskiego — w dziesiątą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego. W części muzycznej uświetniły go występy Kwartetu Polskiego, pieśni odśpiewane przez Stanią Zawadzka, oraz utwory fortepianowe wykonane przez Z. Lisieckiego.

Dla objęcia całości sezonu odczytowego wypadła jeszcze wspomnieć o cyklu wieczorów dyskusyjnych Ogniska Krzewienia Plastyki (St. Szczepeński — Kultura widzenia, Kurzyński — Jak rysują nasze dzieci, Wiśniewski — Oprawy rzeźbiarza, Jaśkowiak — Przechadzki po zabytkach poznańskich), o Wtorkach polonistycznych Kola Polonistów

studentów U. P., porankach literackich Caritas Academica, oraz o występach sekcji teatralnej Bratniej Pomocy U. P. Ostatni z tych występów z okazji Wystawy Norwidowskiej poświęcony był zapomnianemu poecie z prelekcją Z. Dajkowskiej i Skuszanki, oraz częściowym wystawieniem Krakusa. W okresie wielkiego postu sekcja teatralna inscenizowała Hymny Kasprowicza. Udział studentów w życiu kulturalno-literackim miasta Poznania zasługuje na specjalne wyróżnienie, zważywszy na to, że imprezy te nie mają znikąd żadnej pomocy finansowej.

Poza tym usłyszeliśmy jeszcze odczyt zorganizowany staraniem Uniwersytetu Poznańskiego i Instytutu Zachodniego, a wygłoszony przez profesora Uniwersytetu Poznańskiego w Pradze Mariana Szyjkowskiego pt. „Polski romantyzm w czeskim życiu duchowym“. W Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Francuskiej mówili R. Koczalski na temat: Chopin et la France, oraz Czerny — Paul Valéry jako poeta.

W lutym nastąpiło poświęcenie Domu Literatów, a w kwietniu otwarcie auli Konserwatorium Muzycznego. Laureatami tegorocznej nagrody wojewódzkiej zostali: Zdzisław Kepiński (laureat nagrody głównej), Wacław Kubacki (nagrody literackiej), Stanisław Szczepański (nagrody artystycznej), Zygmunt Wojciechowski (nagrody naukowo-organizacyjnej), Zygmunt Latoszewski (muzycznej), oraz Barbara Bittnerówna (nagrody teatralnej). Laureatem nagrody naukowej miasta Poznania został znany prehistoryk Józef Kostrzewski, a artystycznej — muzyk Stefan Poradowski.

Życie teatralne pod względem nowości repertuarowych przedstawiało się raczej ubogo. Opera poznańska dała po raz pierwszy po wojnie dwie premiery baletowe: Harnasie Szymanowskiego (wznowione), oraz Cagliostro w Warszawie Jana Maklakiewicza. Nieszczęśliwy pomysł kostiumów do Harnasi

zaprojektowanych przez Stefanę Janasika, pomysł nazwany przez „nowinkarzy“, zrywających z szablonem, wspaniałą koncepcją stylizowanego drzeworytu, był oczywiście zwykłą nieudaną próbą i nieporozumieniem. Po wznowieniu Rigoletta w nowej obsadzie świetne tradycje poznańskiego życia operowego obudziła Aida Verdiego, wystawiona w przepychu wielkiej ilości kostiumów i niezwykle monumentalnych dekoracji. Wysiłek, godny europejskiej sceny, świadczył o wysokiej sprawności całego zespołu teatralnego. Z operetek ujrzeliśmy miłą i słabą: Oskara Nedbała — Winobranie. Uporczywa tęsknota do nowych i młodszych talentów śpiewaczy łączy się bezwiednie z nadziejami upaństwowienia opery poznańskiej. Na tejże scenie odbyły się wieczory baletowe tegorocznej laureatki primaballeriny Bittnerówny, oraz jej partnera i reżysera J. Kaplińskiego na czele baletowego zespołu Teatru Wielkiego.

Państwowy Teatr Polski po Szczepiaku i Rewizorze, dał w drugiej połowie omawianego sezonu — Bałuckiego Dom otwarty i Szaniawskiego Dwa teatry, tę ostatnią sztukę w reżyserii Karola Borowskiego. Dwa teatry, sztuka o frapującej tematyce, grana poprzednio w Krakowie, Warszawie, Katowicach i Toruniu, mimo wielu nieszczęśliwych rozwiązań i dodatków reżyserskich, zyskała duży sukces. W maju grano w tymże teatrze prawdopodobnie ze względu na niedawną, świeżo jeszcze w pamięci zachowaną przeszłość, słabą sztukę francuską Przyjaciel nadejdzie wieczorem (Jacques Companeez i Yvan Noë). W ramach ogólnopolskiego Festiwalu Szekspirowskiego wystawił Teatr Polski komedie Wiele hałasu o nic, będącą pod względem reżyserii poprawnym, ale mdłym odbiciem granego w ubiegłym roku Wieczoru trzech króli.

Teatr Nowy po Pygmalionie Shaw'a wystawił prapremierę tragicomedii

Wojciecha Bąka: *Sluga don Kiszota*. Sztuka ta, wyrosła na gruncie znanego nam już z poezji moralizatorstwa i kandydziejstwa, toteż nie pozbawiona była długich i charakterystycznych tyrad. Po niej nastąpiła komedia Perzyńskiego — *Szczenie Frania, Ładna historia* — Cailaveta i Flersa, a w czerwcu bardzo kasowa komedia Nicodemiego — *Świt, dzień, noc...* Ta ostatnia, mając za sobą tradycje występów Malickiej i Węgierki, mimo wszelkich widoków powodzenia, została z góry skazana na „po-grzebanie” dzięki nieszczęśliwej i pomyłkowej obsadzie ról (Martini, Dzwonkowski, występujący gościnnie na scenie Teatru Nowego). Ostatnio Teatr Nowy gra *Benedettiego* — Szkarłatne róże z występem znanych sił aktorskich: Barwińskiej, Śliwińskiego i Strzeleckiego.

W Komedii Muzycznej, której dyrektorem podobnie jak Teatru Nowego jest ruchliwy Zbigniew Szczerbowski, dawano: *Zwycięzylem kryzys, Kaprysy Marianny, Żołnierz królowej Madagaskaru* oraz *Moja żona Penelopa*.

Teatr Mały (dawny Teatr Żołnierza) grał między innymi: *Dzień bez kłamstwa, Ich czworo* — Zapolskiej, a w maju gościł łódzki teatr Gong.

Wegetację klubu literackiego *Kukułka* podtrzymywały przyjezdne siły: *Chmurkowska, Sojecki, Chór Juranda*.

W Teatrze Aktora i Lalki wystawiono następujące sztuki (częściowo jako przeróbki z utworów beletrystycznych): *Zmarznęte serce, Czerwony kapturek, Hejdi, W gościnie u lalek, Słowik*. Wreszcie grano na tej scenie komedię *Niewiarowicza* — I co z takim robić, z gościnnym występem warszawskiego teatru *Komedia (Zaklicka, Wesołowski)*.

Dla uzupełnienia obrazu życia teatralnego należy jeszcze wspomnieć o otwarciu oświatowego teatrzyku kukielkowego — *Kukielka Polska*.

Bez porównania większą ilość poważnych imprez kulturalnych, które świadczyły o wzmożonym i intensywnym ruchu koncertowym, należy zapisać na konto występów wokально-muzycznych. Na czoło wysuwają się tu oczywiście koncerty Filharmonii Poznańskiej.

W czwartym koncercie symfonicznym, którym dyrygował Z. Latoszewski, a jako solista występował Henryk Sztompka, usłyszeliśmy Brahmsa, Chopina, Dukasa, w piątym (przy pulpicie Franco Autori) były grane utwory Samuela Barber, Tibor Serly, Norman Dello Joio, Cesar Franck. W trzech następnych, zorganizowanych przez Towarzystwo Filharmonii Robotniczej wykonawcami byli prócz orkiestry Filharmonii Poznańskiej Zyg. Latoszewski jako dyrygent, a solistami: Zdzisław Jahnke (skrzypce), Eugenia Umińska (skrzypce), oraz Stanisław Szpinalski (fortepian). Grano w nich między innymi Prokofiewa, Szymanowskiego, Rabauda, Ravela, Beethovena, Mozarta, Debussyego. Na zakończenie sezonu usłyszeliśmy utwory Karłowicza, Szymanowskiego, Honeggera i Mozarta. Jako solista wystąpił Zygmunt Lisicki, dyrygował młody, o fenomenalnej pamięci Stanisław Wisłocki. Publiczność zgotowała dyrygentowi (który nota bene ma pozostać na stałe w przyszłym sezonie w Poznaniu) owacyjne przyjęcie.

Spśród wielkiej ilości recitali fortepianowych zasługują na wyróżnienie: Raoula Koczalskiego recital chopinowski, 6 wieczorów obejmujących cykl Sonat beethovenowskich, recitale chopinowskie: Sztompki, Nadziei Padlewskiej, Lisickiego, Szpinalskiego (na rzecz PCK), recital poświęcony twórczości Beethovena (w 120 rocznicę śmierci) znakomitego pianisty Bolesława Woytowicza (4 najsłynniejsze sonaty: *Patetyczna, Księżycowa, Waldsteinowska, Appassionata*) i inne.

Niesposób wliczyć wszystkie koncerty wokalne i muzyczne. Na wyróżnienie zasługują: koncert kameralny Kwartetu Polskiego (Jahnke, Kwaśnik, Szulc, Danczowski) z udziałem G. Konatkowskiej (w programie — Mozart, Perkowski, Dworzak), koncert poświęcony twórczości kompozytorów wielkopolskich (Wacław z Szamotuł, K. Kurpiński, B. Dembiński, F. Nowowiejski, Poradowski, Młodziejowski), audycje muzyczne studentów Wyższej Szkoły Muzycznej, koncert ku uczczeniu 75 rocznicy śmierci Moniuszki (Kwartet Polski, soliści, słowo wstępne J. Młodziejowski), popisy muzyczne różnych szkół prywatnych, zespołów świetlicowych, szkolnych, oraz zorganizowane na cele charytatywne.

Osobną wzmiankę należałoby poświęcić występom chórów poznańskich i Wielkopolskim Związkom Śpiewaczym, w szczególności zaś koncertom chóru im. ks. Gieburowskiego i wróżącemu wielkie nadzieje dyrygentowi St. Stuligroszowi. Chór ten, który na terenie Poznania stał się bardzo popularny, dał w okresie pogwiadzkowym wieczór kołęd, później misterium wielkopostne, koncert muzyki kościelnej, wieczór pieśni polskiej i inne.

W końcu maja połączone chóry okręgu poznańskiego, chór z Kościana oraz chór Zmartwychwstania Pańskiego dały trzy koncerty poświęcone twórczości religijnej znanego kompozytora i muzyka Ziemi Wielkopolskiej ks. Józefa Surzyńskiego.

Jak wynika z pobieżnych tylko wzmianek, życie muzyczne Poznania przerasta i góruje nad wszelkimi innymi przejawami kulturalnymi. Sądząc z zapowiedzi i projektów dotyczących przyszłego sezonu jesiennego, ruch ten ulegnie jeszcze większemu natężeniu.

Z wystaw otwarto w styczniu pośmiertną wystawę artystów plastyków okręgu poznańskiego, potem grafikę Burkiewicza w salonach Polskiej

YMCA, wystawę prac poznańskiego plastyka Alfreda Lenicy w Salonie Sztuk Plastycznych, oraz tamże prace członków Związku Warszawskiego i akwarele Jana Cybisa, profesora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Plastyki poznańscy otwarli w końcu maja zbiorową wystawę w YMCA, (Krzyżański, Lenica, Klemiński, Bartel, Szyfter i inni), a w czerwcu oglądamy prace malarskie tegorocznego laureata Stanisława Szczepańskiego. Trzeci Ogólnopolski Salon malarstwa, rzeźby i grafiki urządzony dość niefortunnie w Pałacu Targowym, ściągał nader szczupłe grono wyznawców współczesnej sztuki, oraz pogardliwie uśmiechniętą publiczność, która chwaliła w pierwszym rzędzie ramy obrazów. Poza kilkoma wyjątkami, cała ta olbrzymia ilość prac, w których współcześni krytycy odkrywają nieznaną piękno i nieznaną źródło wzruszeń estetycznych (określając kierunki przezabawnymi i karkołomnymi terminami), nie tylko zatrwąza i zasmuca, ale przede wszystkim niecierpliwi.

Z innych wystaw zawitała do Muzeum Wielkopolskiego z Warszawy (via Łódź) Wystawa Norwidowska urządzona w 120 rocznicę urodzin zapomnianego poety, powiększona i uzupełniona norwidianami poznańskimi. Składają się na nią między innymi autografy, pierwodruki, prace malarskie, opracowania dotyczące Norwida, zebrane w sposób niezwykle staranny i fachowy.

W kwietniu, w salach Biblioteki Miejskiej otwarto wystawę książki wydanej w okresie powojennym, poświęconej zagadnieniom ziem odzyskanych, oraz zagadnieniom współczesnych Niemiec, w maju w tejże Bibliotece z okazji Święta Oświaty — wystawę obrazującą historyczny rozwój książki, jej techniczne powstawanie, oraz pokazano dział podręczników szkolnych i biblioteki powszechnej. W tymże



miesiącu Muzeum Wielkopolskie gościło pierwszą Ogólnopolską Wystawę Fotografiki.

Do ukazania całości obrazu życia kulturalnego Poznania należy szczególne omówienie ruchu wydawniczego, charakterystyka czasopiśmiennictwa, pracy instytutów badawczo - nauko-

wych oraz promieniowania wszystkich tych przejawów na regiony leżące w orbicie wpływów ośrodka poznańskiego.

Zagadnienia te, choć nader ważne, nie zostały objęte powyższym sprawozdaniem.

Bogdan Zakrzewski (Poznań)